



WOŁANIE

Nr. 23 (27)

Kraków, listopad 2000

Jakoz to?
 Tatry stojom
 jak stoły
 a przecie widziało się
 że od zółu wniknie im
 kamienne serce,
 W Pięci Stawak
 siwe chusty mgielne
 mokre od śwyrcek
 płucóm tatrzańskie boginki.
 Jegomość pomarli!
 Po gorcańskik polanak
 ozesute jak kórole
 krople rosy
 leśne lzy
 legły zolem.
 Ciche stojom sałaszy
 a po smrecynowym lesie
 niesie się smutna nowina
 co jom leśni ptośkowie głosom:
 Jegomość pomarli!
 Jakoz to?
 Ostala nuta spod Turbaca:
 "Zatonie, zatonie piórecko na wodzie
 ale nie zaginie nuta o ślebodzie."
 Niesie się syroko po świecie
 o ślebodzie śpiywanie.
 W nim jest zamknione piykno
 Jegomościowej duse
 On haw zyje! *



SPIS TREŚCI:

- | | | |
|--------------------------------|---------------------------|---------|
| 1. Pamięci księdza Tischnera | str. 5 | |
| 2. Nie spodziewam się powrócić | | |
| | <i>Ryszard Długolecki</i> | str. 9 |
| 3. Górami pisane | | |
| | <i>Józef Tischner</i> | str. 30 |

Od maja 1987 roku ukazało się 27 zeszytów WOŁANIA

Opracowanie: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Oddział w Krakowie, Członek wspierający TOPR. **Adres dla Korespondencji:** Andrzej Słota, 30 -150 Kraków, Armii Krajowej 83/131.

Telefony: 638-01-54, **E mail:** slota @ tf.com.pl.

Lokal: Dom Kultury "Podgórze" ul. Krasickiego 18/20. Dyżury Towarzystwa odbywają się co dwa tygodnie we wtorki, w godzinach 18 -19³⁰.

Redaktor: Andrzej Słota, zespół redakcyjny: Barbara Morawska-Nowak, Maciej Mischke. Wpłaty na rzecz Towarzystwa mogą być dokonywane na rachunek:

PTT, Zarząd Główny, PKO I/O Kraków nr. 10202892-162809-270-1-111
PTT, Oddział Kraków, PKO I/O Kraków nr. 10202892-162942-270-1-111

Emblemat na okładce rysowała: Zofia Nowak
Skład komputerowy: Andrzej Słota

PL ISSN 0660-8679

Do druku oddano 5 listopada 2000

WOŁANIE

Biuletyn szkoleniowy dla członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i członków wspierających TOPR

Szczęśliwi ci, którzy znali Go osobiście. Jeszcze szczęśliwsi, których On zaliczał do swych przyjaciół. Dobroć człowieka - to co dla księdza Tischnera było najważniejsze. Tej wielkiej dobroci nadał wielką wartość. W każdym człowieku szukał bliźniego, każdemu gotów był iść z pomocą. Ta wielka dobroć i otwartość brała się z Jego wielkiej maksymy:



- Najpierw jestem człowiekiem, potem filozofem, a dopiero potem księdzem.

To sprawiało, że wszyscy łączyli się do Niego jak do ojca. Niczym Piotr Skarga naszych czasów gromadził wokół siebie wielkie audy-

torium łakome słów, które jak balsam kołły zatroskane polskie sumienia i dodawały otuchy. Wolnym i godnym być - to było wielkie przesłanie księdza Tischnera. Za wszelką cenę chciał z ludzi wykrzesać tę iskrę Bożą, która przecież tkwi w każdym z nas. Trzeba tylko ją umieć dostrzec i pojąć. Nie na darmo w trudnych czasach lat 80-tych nosił miano duchowego przywódcy narodu, gdy taka pomoc była potrzebna i nad wyraz cenna. Tylko On mógł jednocześnie pełnić funkcję kapelana Solidarności i Związku Podhalan. Zawsze trwał przy swoim, nie dbał o zaszczyty, biskupie fiolety, ani naukowe tytuły których przecież bez cienia wątpliwości był godny.

Słuchali go wszyscy. Starzy i młodzi. Spotkania i wykłady, które prowadził zawsze skupiały wielkie tłumy. Każde spotkanie z księdzem



Tischnerem, było jedyne i niepowtarzalne. Każde niosło coś nowego. Czy miało miejsce w Krakowskiej Kolegiacie Św. Anny, czy sali uniwersyteckiej, na Podhalu, czy gdziekolwiek indziej.

Co roku też w każde sierpniowe święto Matki Boskiej Zielnej całe Podhale szło w góry. Szli górale starzy i młodzi. Szły dzieciśka, baby, chłopcy. Jedni pieszo, inni na wozach, traktorach, przyczepach. Szli taternicy, turyści, letnicy, wczasowicze. Szli pod Turbacz do drewnianej Kaplicy Papieskiej na mszę. Na mszę i na naukę.

Uczył życiowej mądrości. Jak żyć, jak zwyciężyć i jak przetrwać. Wpajał, że przetrwanie nie będzie takie łatwe - co sprawdziło się

wkrótce. Może te jego czarne przewidywania przyszłości były przyczyną, że wielu się z nim nie chciało się zgodzić w żaden sposób.

Z Podhalem i góralami związany był od dawna. Wychowany w Łopusznej w ciągu swego życia wrósł w pejzaż tej podtatrzańskiej, góralskiej ziemi, pokochał ją i docenił jej nigdzie w Polsce na tak wielką skalę nie spotkane wartości. Zakochany po uszy w góralszczyźnie, rzecz by można wzorem ludzi epoki doktora Chałubińskiego „po młodopolsku”, jako następny po Władysławie Orkanie dbał o to, by kultura góralska nie zaginęła w dobie tak szybko dziś postępującej amerykańskiej, globalizacji. Stale napominał by naród pielęgnował swe dawne obrzędy i zwyczaje, aby przetrwały one dla następnych pokoleń.

Umiał ten lud prosty, szczerzy, otwarty i odważny. Zdawał się nie dostrzegać wad i przywar, które w mieszkańcach podtatrzańskiej dziedziny występowały nader licznie. Pokochał tę dzikość serca i tak ważną w tych latach ślebołę. Nie rozstawał się z książkami Tetmajera, z nich to czerpał wartości pięknej, góralskiej gwary. Muzyka góralska, ostra i harda sprawiała, że ożywiał się na jej dźwięk. Dlatego z ochotą i często przysiadawał przy muzykantach. Jego to zasługą było, że kapela góralska w czasie liturgii mszy św. przygrywała w kościołach na Podhalu.

Kto wie - być może dzięki takim jak On w wielu miejscach tego świata narodziły się góralskie serca, które choć daleko - w górach są zawsze.

Ksiądz Józef Tischner. Skromny, choć wielki człowiek. „Mędrość” - jak mówiono na Podhalu. On to zasady Platona, Sokratesa, Euklidesa i innych greckich filozofów przekładał na góralski by mądre słowo trafiło do ludu, wśród którego wyrósł i który dla niego był *solą ziemi czarnej*. Jego słynna „Filozofia po góralsku” w formie nieco odbiegającej od utartych zasad zrobiła więcej niż niejeden wykład na uczelni. Mądre i specyficzne podejście do spraw tego świata, trafiło wtedy do ludzi prostych, na co dzień nie obcujących z nauką. Dla wielu, myśli księdza Tischnera, które ostały się jako słowo pisane, lub też w formie nagrań do dziś działają jak lekar-

stwo na ból duszy, który choć niewidoczny czasami mimo wszystko daje o sobie znać. Dlatego że z tych słów bije wielka mądrość, tak ważna i niezbędna w życiu.

Choć od dawna wiadomo było, że Ksiądz Tischner jest ciężko chory to mimo wszystko wszyscy liczyli na cud. Jego nagłe odejście sprawiło, że wielu pytało się - dlaczego? Dlaczego właśnie On i właśnie teraz, kiedy wydawało się, że nauki jeszcze nie dokończył. Że jeszcze coś miał dla nas w duszy przygotowane i czekał tylko na właściwy czas. Nieubłagany czas jednak przerwał tę mocną, choć niesamowicie ciekawą nić życia.



„- *Kie pudziemy s tela, to nas bedzie skoda,
Po górach w potokach płakać będzie woda.*”

- te słowa księdza Tischnera przekazane piórem Ojca Świętego, a odczytane przez Metropolitę Ks. Kard. Franciszka Macharskiego rozpoczęły dnia 2 lipca Roku Pańskiego Dwutysięcznego smutny obrządek pogrzebowy w krakowskim kościele Piotra i Pawła.

Narodu zeszło się moc. Mimo niedzieli i jak na dzień wolny od pracy dość wczesnej pory kościół, który jest jednym z większych w Diecezji Krakowskiej pękał w szwach. Ulica Grodzka przed stojącymi figurami świętych apostołów też pełna ludzi. A że to dzień był upalny, duszny, ludziska mdleli jak muchy. Trochę z tego przedburzowego gorąca, trochę z emocji. Ksiądz Tischner był osobą znaną wszem i wobec. Wszyscy cenili go ponad zwykłą, ludzką miarę. „Erka” kursowała raz po raz.



Po mszy zabrali go górale. Jako te dzieci osamotnione, co ojcu posługują w tej ostatniej chwili.

I niesły go głopy niemłode. Dość stare i siwe. Oczy mieli czerwone od łez, choć góral do płaczu nie skory. Ale to dlatego, że to



On był ich, a oni Jego. Niesli go w ciszy, choć na początku szła wojskowa kapela podhalańczyków z orlimi piórami przy zielonych kapeluszach. Zegrali tylko jedną zwrotkę. Rzekłbyś, że im trąby z żalu zamarły.



Ponieśli Go ino kawalecek - do końca Grodzkiej ulicy, pod kościółek Św. Idziego. Stamtąd powieźli na Podhale.

- *Witaj w domu* - tymi słowami Księdza Metropolity rozpoczęła się ceremonia pochówku w progu domu gdzie mieszkał ksiądz Tischner.

Lud góralski przybył zewsząd. Rzekłbyś z całego świata. Całe Podhale odświętnie zjechało do Łopusznej, choć pogrzeb jest uroczystością smutną. Na trumnie Józefa Tischnera położyli góralski kapelusz. Trumnę złożono w mogile.

Wrócił w góry Ksiądz Jegomość, choć w zasadzie zawsze w nich był. Słucha teraz jak nieopodal pluska woda w kapryśnym Dunajcu, jak szumią nad głową wyniosłe smreki. Nadstawia ucha gdy duje ta-

trzański halny, wylizując ostatnie wiosenne śniegi. Góralska muzyka, muzyka którą kochał nad życie.

No to graj muzyko dla księdza Józka! Graj po swojemu, najpiękniej jak tylko potrafisz. Ale jak nuty te wyrazić, skoro muzyka siedzi w duszy? Chyba, że posłużyć się słowami poety:

*Groście skrzypki, groście żwawo, niek muzycka tnie
Kiej wos słuchom to z radości jaz się serce rawie
Leć muzycko, leć do Nieba i z powrotem wróć!
Kiej zawrócis z janiołami jesce w usach nuć.*

* wykorzystano wiersz pani Wandy Szado Kudasikowej

Nie spodziewam się powrócić

George Leigh Mallory. Któż o nim nie słyszał? Postać-legenda, na trwale związana z Everestem i historią tej góry. Z tego też okresu pochodzi owa słynna odpowiedź Mallory'ego na pytanie dlaczego zdobywa Everest? Dlatego - że jest. Everest fascynował go od dawna. Choć w latach 20-tych naszego stulecia możliwości sprzętowe wspierające zdobywanie wysokich wierzchołków górskich były bardzo ograniczone, to chęć zdobycia najwyższej góry świata zaprzętała mu głowę bez przerwy. W końcu Mallory został pokonany, bowiem w roku 1924, w czasie kolejnej próby nie wrócił do bazy na lodowcu Rongbuk. W roku 1999, podczas wyprawy na Everest od strony chińskiej, gdy okazało się że północna ściana została jak nigdy dotąd pozbawiona śniegu, postanowiono poszukać ciała Mallory'ego i Irvine, by wreszcie rozgryźć do dziś nierozwiązana zagadkę, czy Mallory zginął w drodze na wierzchołek, czy w zejściu. Czy był pierwszym zdobywcą Everestu, czy dopiero dokonała tego wyprawa pod wodzą płk. Johna Hunta z roku 1953, kiedy to Hillary i Tenzing weszli na wierzchołek.

Zobaczmy co na ten temat pisze Ryszard Długolecki, lekarz specjalizujący się w medycynie wysokogórskiej, uczestnik wypraw w góry wysokie, m.in. w Karakorum i Himalaje. Artykuł ukazał się w Górach i Alpinizmie Nr. 1-2/2000, redagowanych przez Alka Lwowa.

Wkrótce na Everest wyruszy kolejna wyprawa. Jej uczestnicy chcą raz na zawsze rozwikłać największą zagadkę himalaizmu: kto jako pierwszy zdobył najwyższy szczyt Ziemi?

Północna ściana Everestu i podszczytowe stoki góry dawno już nie były tak obnażone. W wielu miejscach śnieg, zalegający tu przez lata grubą warstwą, zniknął, odsłaniając szarawe, głęboko zmrożone piargi, skałę i wiele z tego, co bardzo długo spoczywało pod śnieżno-lodową pokrywą.

Conrad Anker przeszukiwał krok po kroku pochyły taras, którego stromizna nie przekraczała 20 stopni. Posuwał się po-

woli, zakosami, starając się nie przeoczyć niczego, co mogłoby przybliżyć go do celu. Teren był szczególnie interesujący: w tym właśnie miejscu, na wysokości ponad 8200 metrów, utworzyła się swoista naturalna półka, na której mogło się zatrzymać wszystko to, co spadało z północno-wschodniej grani Everestu i widocznego poniżej żółtego pasa skał. Także ludzkie ciała.

Wkrótce natknął się na szczątki wspinacza, później odnalazł następne. Szczegóły ich ubiorów i wyposażenia były jednak współczesne. Nie tego szukał. W pewnym momencie, spoglądając ku górze, dostrzegł znajdującą się około 30 metrów nad nim jasną plamę marmurowego koloru. Kiedy zbliżył się do niej na odległość kilku metrów, rozpoznał ludzkie ciało, częściowo wmarznięte w podłoże. Leżało twarzą ku ziemi. Ze starej, wielowarstwowej, wełnianej, bawełnianej, jedwabnej i brezentowej odzieży pozostały wypłowiałe strzępy. Zachowały się głównie pod tułowiem, na przedramieniach i na wysokości pasa. Zerwana lina, którą wspinacz był przepasany, wskazywała na upadek. Prawa stopa, nienaturalnie odgięta, tkwiła w ciężkim, nabijanym ćwiekami bucie. Głowa skierowana w górę stoku była chroniona hełmem, spod którego wystawał pojedynczy kosmyk włosów. Mocno umięśnione ramiona i przedramiona, zgięte w łokciach i uniesione na wysokość głowy, jakby obejmowały Górę. Ciało wyglądało jak marmurowa rzeźba, która w symbolicznym geście garnie się ku Bogini Matce Ziemi.

Prolog, w którym się pojawiają najważniejsze pytania

To nie był symboliczny gest. Wyglądało na to, że wspinacz po upadku, mimo ciężkich obrażeń, żył jeszcze. Usiłował zahamować zsuwanie się po stoku, który kończył się nieco poniżej blisko dwukilometrową zerwą, osiagającą jednym pionowym skokiem lodowiec Rongbuk. Jego nagie dłonie zagiętymi palcami wczepione były w podłoże. Udało mu się zatrzymać. Chyba próbował jeszcze, podpierając się lewą stopą, zmienić ułożenie prawego uda i podudzia, strzaskanych w upadku. Najpewniej chciał zminimalizować ból. Powoli obejmowała go jednak mroźna noc. Wiedział, że w tym nieludzkim otoczeniu nie ma najmniejszej szansy na przeżycie.

Anker wezwał pozostałych wspinaczy, którzy rozproszyli się po stoku. Stanęli nad ciałem. Na odzieży ocalała naszywka z imieniem i nazwiskiem właściciela, zrozumieli, że to sam George Leigh Mallory.

Zsunęli maski tlenowe i stali w milczeniu. Był 1 maja 1999 r. Przed nimi leżały szczątki człowieka, który przed 75 laty, 8 czerwca 1924 roku, wraz ze swym partnerem zaatakował szczyt Everestu. Obydwaj zniknęli wówczas bezpowrotnie gdzieś w chmurach.

Trzeba było dokładnie przeszukać odzież i otoczenie. Po to, by odpowiedzieć wreszcie na pytanie, czy Mallory dotarł na szczyt i zginął schodząc z niego, czy też Góra pochłonęła go podczas wspinaczki.

Szukali przede wszystkim aparatu fotograficznego. Znaleźli paczuszkę listów od najbliższych, zawiniętą w czerwoną chustkę o kolorach tak żywych, jakby była „dopiero co kupiona u Harroldsa”, kilka rachunków, spisy zabranej na wyprawę żywności, nóż, okulary lodowcowe, wysokościomierz, zielonoczerwone pudełeczko zapalek z białym wizerunkiem łabędzia i niewielkie, prostokątne blaszane pudełeczko z plasterkami mięsa, polecany jako podręczny środek odżywczy „oficerom, podróżnikom, członkom Parlamentu i innym osobom w przypadku braku dostępu do normalnych posiłków”. To wszystko.

Poszły w ruch kamery i aparaty fotograficzne. Zaczęto utrwalać szczegóły, świadczące też o tym, że krukopodobne ptaszyska zwane tutaj gorakami, stali bywalcy i sanitariusze tych gór, nie oszczędziły ciała. Przez godzinę zbierano kamienie, aby zapewnić szczątkom najprostszą osłonę. Jeden z członków ekspedycji odczytał głośno Psalm 103: „Pan jest miłosierny i łaskawy”. Potem musieli już śpiesznie pomyśleć o sobie. - Człowieku - mówił później Dave Hahn, jeden z pięciu poszukiwaczy - tu odstępujesz o jeden krok i przestajesz się martwić o życie George'a Mallory'ego, a zaczynasz się martwić o własne.

Po 16 dniach w kieszeni spodni Mallory'ego znaleziono jeszcze zegarek. Aparatu fotograficznego nie było. Potem poszukiwacze wzmocnili kamienną osłonę ciała. Odeszli.

Akt pierwszy, czyli o chłopcu o dziewczęcym spojrzeniu, który długo nie pożyje

Zapowiadał się na rosłego mężczyznę. Chociaż mocno i proporcjonalnie zbudowany, twarz miał dziewczęcą. Zwracał uwagę swoimi ruchowymi uzdolnieniami: sprawnością elastycznego ciała, miękkimi, płynnymi ruchami. Emanował zdrowiem i energią. Był śmiały i zdecydowany, wręcz impulsywny. Czasem w jego działania wkładał się przez to chaos. Także przed ostatnią wspinaczką. Zapomniał o latarce, racach świetlnych, które miały oznajmiać zdobycie Everestu, kompasie; ba, nawet aparat fotograficzny pożyczył w ostatniej chwili od innego wspinacza, Howarda Somervella, który odpoczywał właśnie po swej nieudanej, choć bardzo zaawansowanej próbie dotarcia na szczyt.



George Leigh Mallory urodził się w roku 1886 w rodzinie anglikańskiego pastora. Dorastał, męźniał i wkrótce znalazł się w renomowanej szkole dla chłopców w Winchester. Kierownikiem szkolnego internatu był Graham Irving, praktykujący z upodobaniem wspinaczkę górską. George, zwracający powszechną uwagę swoją błyskotliwą inteligencją, wszechstronnymi zainteresowaniami, a przy tym szczególną sprawnością fizyczną, trafił do grupy uczniów, których Irving zaczął wprowadzać we wspinaczkowe arkania. Początkowo trenowali w górach Walii, potem przez dwa sezony letnie w Alpach. Dokonali tam m.in. śnieżnego trawersu Mont Blanc.

W lutym 1909 roku, po rozpoczęciu studiów w Cambridge, Mallory spotkał Geoffreya Winthropa Younga, jednego z najlepszych wówczas brytyjskich alpinistów, znawcę i propagatora nowoczesnych technik wspinaczkowych. Young, dziesięć lat starszy od Mallory'ego, stał się jego górskim mentorem i partnerem. Znow zaczęły się wspinaczki w północnej Walii, ale drogami o znacznie wyższym stopniu trudności.

Towarzystwo było nietuzinkowe: uczestnikami tych wyjazdów górskich byli m.in.: malarz Duncan Grant, którego towarzyszką życia była Vanessa Bell, siostra Virginii Woolf; historyk G.M. Trevelyan, a później nawet przyszły pisarz Robert Graves. Najbardziej zafascynowany wspinaczką był jednak Mallory. W dodatku wspinał się w nieprzeciętnym stylu. Jego ruchy w ścianie były jakby instynktowne: płynne, miękkie, naturalne, bez zahamowań i zawahań, szły falą. Ale z czasem coraz wyraźniej było widać, że odwaga wspinacza zamienia się często w brawurę. W roku 1911, po wspólnym przejściu trudnej drogi w walijskiej ścianie, jeden z czołowych wówczas austriackich alpinistów powiedział o Mallorym: „Ten młody człowiek długo nie pożyje”.

W roku 1913 Królewskie Towarzystwo Geograficzne powróciło do pomysłu Clintona Denta, zdobywcy Dru, alpejskiej „szklanej góry”. Dwadzieścia jeden lat wcześniej rzucił on myśl zorganizowania wyprawy na Mount Everest. Zaczęto przygotowywać plany takiej wyprawy. Miała się ona odbyć w roku 1915.

Mallory tymczasem wspinał się z przyjaciółmi w kraju i w Alpach, pisał, pracował na uniwersytecie w Cambridge, a w roku 1914 ożenił

się. Wybuch pierwszej wojny światowej zmienił wszystko. Zarówno góry północnej Walii, jak i Alpy opustoszały. Young i skupieni wokół niego alpinści znaleźli się w ogniu walk. Mallory trafił do artylerii. Wspinaczki, poetyckie opisy gór, grono przyjaciół, spokojna praca na uniwersytecie, rodzinne szczęście - wszystko to zastąpił jakiś niewiarygodny, upiorny kataklizm.

Na zdjęciu zrobionym mniej więcej po roku wojny Mallory stoi w mundurze. Twarz, której pisarz Lytton Strachey przypisywał « delikatność chińskiego sztychu », jest stwardniała, zmęczona i zamysłona. Zmarszczki wokół ust, fałdy i cienie pod oczami. A to przecież był dopiero początek gehenny, która ogarnęła Europę. Poginęli przyjaciele alpinści. Geoffrey Young - mistrz i towarzysz wspinaczek Mallory'ego - wyszedł z wojny ciężko okaleczony.

On sam miał szczęście: nie był nawet ranny.

Akt drugi, w którym Anglicy planują zdobycie „trzeciego bieguna”

Królewskie Towarzystwo Geograficzne zajęło się na nowo pomysłem wyprawy na Mount Everest w roku 1919, po wysłuchaniu odczytu wygłoszonego przez Johna Noela. Noel był angielskim oficerem. Od dawna interesował się możliwościami zdobycia najwyższej góry świata. W roku 1913 w przebraniu buddyjskiego mnicha przekradł się do zamkniętego przed cudzoziemcami Tybetu, aby sprawdzić możliwość dotarcia do Everestu od północy. Został rozpoznany i wydalony z Tybetu, ale to tylko umocniło jego fascynację Górą.

O Evereście wiedziano wówczas niewiele. Ten potężny masyw spoczywał pomiędzy dwoma zamkniętymi królestwami: Tybetem i Nepalem. Kiedy w roku 1852 brytyjskim mierniczym udało się przeprowadzić z dużej odległości pomiar jego wysokości, wynik wywołał zdumienie: okazało się, że ma ponad 29 000 stóp (około 8840 m) i jest najwyższy na świecie.

Wyprawę planowano niemal od zera. Nie tylko nie znano topografii Everestu, ale nawet nie wiedziano, jak do niego dojść. Wielką niewiadomą była reakcja ludzkiego organizmu na tak duże wysokości. Mimo to decyzja zapadła. Wielka Brytania prze-

grała wyścig do obydwu biegunów, więc zdobycie Everestu, tego „trzeciego bieguna”, stawało się prestiżowym przedsięwzięciem.

Najpierw, w roku 1921, miał wyruszyć rekonesans. Jego zadaniem było znalezienie drogi pod Everest, rozpoznanie topografii masywu, wytyczenie drogi ku szczytowi i podejście nią możliwie jak najwyżej. Rok później miała ruszyć wyprawa zdobywcza.

Nepal pozostał wprawdzie zamknięty, ale udało się uchylić bramę do Tybetu: Anglicy zdobyli przychylność Dalajlamy dla swoich planów.

Mallory znalazł się w składzie wyprawy rekonesansowej obok trzech innych wspinaczy oraz czterech naukowców. Całością miał pokierować oficer, Charles K. Howard-Bury.

Karawana wyprawy wyruszyła z Dardżyling w maju 1921 roku. Miała przed sobą blisko 500 kilometrów ciężkiej trasy, zanim „skończyła się mapa” - jak to później określił Mallory. W czerwcu ekspedycja dotarła do klasztoru Shekar w Tybecie. Jej członkowie byli tam pierwszymi Europejczykami. Po krótkim odpoczynku ruszyli dalej.

Wkrótce po opuszczeniu gościnnego klasztoru spotkali pielgrzyma, który od jedenastu miesięcy pokonywał swą drogę do świętych miejsc, co krok padając na ziemię twarzą w pył. Pielgrzym wstawał, aby po następnym kroku paść znowu. To spotkanie wywarło na Mallorym głębokie wrażenie. Jego współtowarzysze powiedzą później, że on sam zaczął przejawiać wobec Everestu uczucia niemal religijne.

„Wspinam się na Everest - powiedział amerykańskiemu dziennikarzowi w roku 1923 - bo on tam jest”.

Akt trzeci, w którym dowiadujemy się, w czym chciano zdobyć Everest

W drodze zmarł niespodziewanie Alexander Kellas, doświadczony himalaista, zdobywca m.in. siedmiotysięcznika Pauhunri, znawca aparatury tlenowej i zwolennik jej stosowania na dużych wysokościach. Inny alpinista, Harold Raeburn, rozchorował się ciężko. Akcję w górach mogli podjąć już tylko Mallory i Guy Bullock. W lipcu dotarli do klasztoru Rongbuk, leżącego nieopodal północnej ściany Everestu. Aby móc lepiej ją obserwować, prze-

szli kamienną i wietrzną dolinę, noszącą to samo imię co klasztor. U jej wylotu rozbili namiot. Kiedy pogoda poprawiła się, zaczęli oglądać ścianę i cały masyw. Obserwowali z pełnym pokory przejęciem „najbardziej urwiste granie i przerażające przepaście z tych - jak pisał później Mallory do żony - które udało mi się widzieć dotychczas”.

I dalej: „Nie potrafię Ci nawet opisać, jak bardzo ta góra mną zawładnęła”.

Każdy wspinacz, oprócz urzeczenia pięknem gór, czuje wobec nich pokorę. Ale kiedy porówna się wyrafinowane wyposażenie dzisiejszych zdobywców z tym, czym dysponował Mallory, jego pokora wydaje się szczególnie uzasadniona.

A więc czym dysponował?

Ubiór członka everestowskich wypraw składał się zwykle z siedmiu lub ośmiu warstw. Na gołe ciało zakładano wełnianą, jedwabną lub nawet lnianą bieliznę. Na to flanelową koszulę, wełniane swetry, a na wierzch brezentowy anorak. Noszono długie, najczęściej wełniane kalessony; na nie wkładano wiatroodporne spodnie - najczęściej brezentowe; podudzia chroniono owijaczami z dzianego kaszmiru. Rękawice nakładano jedwabne, na nie drugie - wełniane i wreszcie brezentowe. Na głowach noszono przeróżne nakrycia: od wełnianych czapek, filcowych kapeluszy czy skórzanych hełmów motocyklowych obramowanych futrem, aż po korkowy hełm tropikalny.

Na zdjęciu z wyprawy everestowskiej z roku 1922 ujrzyć można nieco zarośniętego dżentelmena w niezłe skrojonym tweedowym garniturze, pięknym kasku tropikalnym, owijaczach i skórzanych kamaszkach, przepasanego sztywną liną, w twarzowych okularach lodowcowych (i zapasowych na kasku). Szykowność kroju marynarki psują cokolwiek szelki dźwiganego na plecach ciężkiego aparatu tlenowego.

W stroju tym wystąpił zawodowy oficer pułku Gurkhów, uczestnik everestowskich bojów w roku 1922 i 1924, kpt. John Geoffrey Bruce. W roku 1922, w podobnym rynsztunku, osiągnął on na Evereście rekordową wówczas wysokość ponad 8300 metrów.

Kiedy George Bernard Shaw zobaczył fotografię grupy rekonasansowej w takim stroju, miał ponoć powiedzieć, że całość przypomina mu raczej „grupę uczestników pikniku zaskoczonych śnieżną zadymką”.

Obuwie było skórzane, jednowarstwowe, ze skórzanymi spodami i, czasami, filcowymi wkładami. Zakładano więc kilka par skarpet. Mallory nosił ich tyle, że często uciskały stopę, odcinając dopływ krwi. Używano wprawdzie dość prymitywnych, stalowych raków, przytwierdzanych do butów ciasnymi paskami, ale większość wspinaczy wolała buty nabijane gwoździami, które były lżejsze i podobno nie narażały tak bardzo na odmrożenia.

Aparatura tlenowa była jeszcze bardzo ciężka (pierwsze zestawy ważyły około 16 kg), a przy tym zawodna i podatna na uszkodzenia (część przewodów była ze szkła). Tlen często niekontrolowanie wyciekał ze zbiorników. Zmodyfikowane zestawy, używane na wyprawie everestowskiej w roku 1924, ważyły niewiele mniej. Tłenu wystarczało na osiem, dziewięć godzin.

Liny produkowane z włókien naturalnych, bez żadnych atestów, dobierano według indywidualnego uznania. Najczęściej były to liny konopne o trzyżyłowym skręcie, produkcji francuskiej firmy Beal. Były ciężkie (szczególnie po zamknięciu) i twarde, a przez punkty asekuracyjne przechodziły z uciążliwymi oporami.

Czekany najczęściej kupowano w Szwajcarii. W ich produkcji specjalizowała się rodzina Willisch z Zermatt. Długie, ze stalową głowicą, gładkim ostrzem i łopatką skierowanymi prostopadle do drewnianej rękojeści. Prymitywne, a jednak skuteczne.

W roku 1922 na Evereście Henry Morshead schodził z wysokości około 7600 metrów w czteroosobowym, powiązanym liną zespole. Kiedy nagle upadł, pociągnął za sobą swych partnerów: Somervella i Nortona. Mallory, będący „pierwszym na linie, zareagował błyskawicznie: wbił w śnieg czekan, przełożył przez niego linę i elastycznie asekurowując wyhamował upadek całego zespołu”.

Namioty były liche, bardziej stosowne na polach bitewnych pierwszej wojny niż w ekstremalnych warunkach Himalajów. Niewiele też wiadano w latach dwudziestych o prawidłowym żywieniu na dużych wysokościach. W owych czasach w evere-

stowskiej bazie można było zjeść na przykład puszkowaną przepiórkę z placuszkami i popić szampanem lub czymś mocniejszym. Wyżej jedzono plasterki suszonego mięsa, głównie wołowego, puszkowane sardynki, makarony, krakersy. Popijano to wszystko mocną herbatą z cukrem i skondensowanym mlekiem. Do topienia śniegu i gotowania używano najczęściej prymusów. Stosowano też paliwo w tabletkach albo świece.

Bardzo niewiele wiedziano o chorobie wysokościowej, jej postaciach, sposobach zapobiegania, o wczesnym jej wykrywaniu i leczeniu. Tę wiedzę trzeba było dopiero zdobywać, gromadzić krok po kroku, a ceną było często ludzkie życie.

Akt czwarty, w którym Mallory szuka drogi na szczyt

U wylotu doliny Rongbuk, na wysokości około 5000 metrów i w odległości blisko 25 km od podstawy Everestu Mallory i Bullock założyli obóz. Stamtąd przez długie tygodnie penetrowali lodowce, wchodzili na okoliczne grzbiety, sporządzali mapy, nadawali tybetańskie nazwy okolicznym szczytom, przełęczom i graniom. I cały czas wypatrywali dogodnej drogi na Everest.

Pod koniec września z wysokiej przełęczy leżącej pomiędzy pięknymi szczytami Lingtrense i Pumo Ri ujrzeli odpychające, potrząskane zerwy lodowca Khumbu. Mogli też obserwować znaczną część Western Cwm (z walijskiego: „Kotła Zachodniego”), a więc drogi, którą Edmund Hillary i Norkay Tenzing w roku 1953 wspięli się wreszcie na Everest. Wiodła ona przez przełęcz południową i grań południowo-wschodnią. Mallory i Bullock byli zaciekawieni tym terenem jako ewentualną trasą wyprawy, choć lodospad Khumbu wyglądał niezwykle groźnie.

Mallory chciał zejść długim trawersem do Kotła Zachodniego, ale zrezygnował. Kilkusetmetrowa przepaść zagroziła mu drogę. Zresztą kocioł, jak się okazało, znajdował się na terenie Nepalu, zamkniętego przed przybyszami z zewnątrz.

W miarę postępów w rozpoznaniu topografii okolic Everestu, Mallory i Bullock ponownie skupili uwagę na północnej ścianie Everestu, a ściślej na jej lewym obramowaniu, czyli grani północno-wschodniej (jednej z trzech głównych grani Everestu). Od szczytu grań ta obniża się łagodnie, aż do wyraźnie widocznego Ramienia (8393 m n.p.m.). Stąd opada już stromo. Był

jednak sposób na ominięcie stromizny: od północy do Ramienia dochodzi niższa grań. Na tej grani, na wysokości 6990 metrów, uczestnicy rekonesansu wypatrzyli przełęcz. Nazwali ją przełęczą północną, Chang La. Można się na nią dostać zarówno od strony wschodniej, jak i zachodniej. Mallory i Bullock uznali, że prawdopodobnie jest to klucz do drogi na szczyt.

Grań ciągnąca się od Chang La ku Ramieniu i dalej ku szczytowi wyglądała zachęcająco: niezbyt stroma i bez widocznych technicznych niespodzianek. 24 września Mallory, Bullock i Wheeler wraz z trzema Szerpami, stanęli na upatrzonej przełęczy. Wiał huraganowy wiatr, ale mimo to postanowili poznać dalszą drogę. Grań wiodąca ku Ramieniu była szeroka, łagodna, wyglądała na łatwą do przejścia. Widoczna część kopuły szczytowej Everestu dymiła majestatycznie pióropuszcami śnieżnego pyłu. Imponujący szczyt wydawał się być niemal w zasięgu ręki, choć uczestników wyprawy dzieliło od niego około 1850 metrów w pionie i ponad 3 kilometry dystansu. Mallory, choć urzeczony widokiem, zdawał sobie sprawę, że nie mają już czasu na atak szczytowy. Ale czuł, że ma jeszcze spory zapas sił. Namawiał przyjaciół, żeby szli dalej. Byli jednak na to zbyt wyczerpani. Odmówili. Ruszył z determinacją sam. Chciał podejść jak najwyżej. Może liczył, że ruszą za nim? Nikt jednak nie zrobił kroku. Mallory musiał zawrócić.

Akt piąty, w którym Everest zbiera pierwsze ofiary

Drugą wyprawą kierował doświadczony himalaista, generał Charles G. Bruce. Pomagał mu inny weteran himalaizmu - Tom Longstaff. Oprócz nich - Mallory, Norton, Somervell. Mieli usprawnione aparaty tlenowe i przede wszystkim doświadczenie zebrane w czasie poprzedniej wyprawy.

Na początku wszystko szło sprawnie. W końcu marca wyprawa wyruszyła z Dardżyling, a 17 maja obóz na przełęczy północnej był już zainstalowany i zaopatrzony. 20 maja wyruszył z przełęczy pierwszy atak szczytowy. Jeden z uczestników słabnie jednak na wysokości około 7600 m i tam biwakuje. Mallory, Norton i Somervell ruszają dalej. Od szczytu dzieli ich w pionie jeszcze 1200 metrów.

Nie zdawali sobie jeszcze sprawy z tego, jak szybko na tych wysokościach wyciekają z człowieka siły. A przecież szli bez tlenu.

Mallory przeciwstawiał się używaniu aparatów tlenowych w czasie wspinaczki. Uważał, że to sztucznie „obniża” Górę.

Cała trójka szybko poczuła niszczące działanie wysokości. Przed nimi nie wdarł się tak wysoko żaden człowiek. Sześć godzin krańcowego wysiłku i zaledwie 600 metrów wysokości. Tępo obserwowali ślamazarność własnych poczyniń. Na 8200 metrach poczuli się pokonani. Zawrócili.

Teraz w górę wyruszył George I. Finch, w towarzystwie wspomnianego „gentlemana w tweedowym garniturku”, J.G.Brucea. Był z nimi także Tedźbir, Gurkh, pierwszy w historii tragarz, który miał szansę zdobyć Everest. Mieli ze sobą aparaty tlenowe. Na wysokości około 7800 metrów musieli przeczekać 36-godziną burzę. Potem ruszyli dalej. Szło im się znacznie lepiej niż pierwszej trójce, dopóki na wysokości nieco ponad 8300 metrów nie zatrzymała ich awaria aparatu tlenowego Bruce'a. Finch, widząc jak jego partner nagle zatacza się i chwieje na stromym, eksponowanym zboczku, chwycił go, podtrzymał i szybko naprawił aparat. Ale Bruce był oszołomiony, stracił sporo sił. Musieli zawrócić.

Było już jednak jasne, że bez tlenu zdobycie Everestu jest niemożliwe. Poza tym w zespole atakującym szczyt musi być choć jedna osoba umiejąca sprawnie obsługiwać i naprawiać aparaturę tlenową.

Na początku czerwca sytuacja wyprawy stawała się z dnia na dzień coraz trudniejsza. Większość jej uczestników potrzebowała odpoczynku. A wichura była tuż-tuż. Do tego lama z klasztoru Rongbuk ostrzegał wspinaczy. Miał wizję strasznego wypadku, który spotka członków ekspedycji. Nie wiele brakowało, żeby wyprawę przerwano. Ale Mallory „darł się” do góry. „To piekielna góra - pisał do jednego ze swych przyjaciół - zimna i zdradziecka. Prawdę mówiąc, całość nie wygląda za dobrze: ryzyko jest zbyt duże, a margines sił ludzkich na dużych wysokościach - zbyt mały. Być może ponowne wyjście w górę jest zwykłym szaleństwem. Ale jakże ja mogę wyłączyć się z tej gonitwy?”

7 czerwca, chociaż już pojawiły się pierwsze sygnały burzy i ciągle padało, wyrusza na przełęcz północną szesnastoosobowa grupa. Mallory, Somervell, Colin Crawford i 13 tragarzy. Nie

zdawali sobie jeszcze sprawy z tego, jak dalece wichur zmienia warunki wspinaczki, że czyni ją zwyczajnie nierozumną. Kiedy parli pracowicie przez świeżo zaśnieżone zbocze ku obozowi na przełęczy, usłyszeli głośny, głuchy dźwięk, który Mallory, niedawny artylerzysta, porównał do „wybuchu nieubitego prochu”. W jednej chwili cała grupa znalazła się w potężnej lawinie. Mallory, Somervell i Crawford zdołali się uratować. Dwóch tragarzy udało się odkopać jeszcze żywych. Siedmiu straciło życie.

Mallory był zupełnie rozbity. Miał całkiem uzasadnione poczucie winy. Myśl o siedmiu Szerpach, którzy stracili życie, prześladowała go nieustannie, także po powrocie do domu.

Akt szósty, w którym szczyt jest tuż-tuż

Brytyjczycy, mimo tragedii pod przełęczą północną, nie rezygnowali. W roku 1924 miała się odbyć kolejna próba zdobycia Góry. Kierownikiem wyprawy został ponownie generał Charles G. Bruce (z powodu malarii wycofał się już na początku).

W jej składzie znaleźli się przede wszystkim uczestnicy poprzednich wypraw. „Nowi” pod Everestem byli: Noel E. Odell, doświadczony alpinista, geolog i wspinacz o niespożytych siłach i znakomicie, jak się okazało, znoszący duże wysokości, oraz 22-letni student Oksfordu, Andrew Comyn Irvine. Irvine nie był nawet alpinistą, za to potrafił w najcięższych nawet warunkach przywrócić i utrzymać sprawność aparatury tlenowej.

Kiedy Mallory, jako jeden z pierwszych, otrzymał propozycję udziału w wyprawie, chciał ją odrzucić. Nie udało mu się jednak uwolnić od zauroczenia Everestem. Wrócił pod Górę. To kolejne spotkanie w jego świadomości przybierało postać ostatecznej rozgrywki. „To będzie bardziej przypominało wojnę aniżeli wspinanie” - powiedział jednemu z przyjaciół. - Należy też przyjąć - mówił dalej - że kiedy jeszcze raz ruszymy w górę lodowca Rongbuk, to musi to być już próba finalna, na złe czy dobre”.

I jeszcze: „Nie spodziewam się powrócić”...

Już z wyprawy, opisując żonie szczegóły planu ataku na szczyt, napisał: „Jest nie do pomyślenia, abym dysponując takim planem nie wszedł na wierzchołek. Nie wyobrażam sobie, że schodzę pokonany”.

Everest powitał ich serią ciężkich śnieżnych burz. Droga ku przełęczy północnej stała się nieporównanie trudniejsza niż przed dwoma laty. Mimo to z uporem i konsekwencją przedzie-rano się w górę. Zakładanie kolejnych obozów w drodze na przełęcz było prawdziwą gehenną. Kiedy wśród nieustającego śnieżnego huraganu stracili dwóch Szerpów, sytuacja wyprawy stała się krytyczna. Do tego znaczna część żywności dla tragarzy wpadła do lodowej szczeliny. Kiedy kolejna fala śnieżycy zablokowała Szerpów na przełęczy, desperacka akcja ratunkowa uratowała im życie, ale kosztowała członków wyprawy wiele sił.

Pod koniec maja zespół był w rozsypce. Kilku wspinaczy miało za sobą ciężkie upadki. Mallory, idący bez asekuracji, wpadł do szczeliny. W ostatniej chwili, odruchowo wbił czełkan w lód. Wydostał się o własnych siłach.

Szerpowie, lud zadziwiającego męstwa i odporności, stracili serce do wyprawy. Niewiele pomogły błogosławieństwa lamy z Rongbuk, dokonane srebrnym relikwiarzem. Lama mówił zresztą: „Wielka Czomolungma, Bogini Matka Ziemi, jest strzeżona przez duchy naszej starożytnej religii. Wasz odwrót raduje demony. One zmusiły was do odwrotu i zmuszą do odwrotu jeszcze raz”. Te słowa nie poprawiły nastrojów.

John Noel, fotograf wyprawy, pisał później w swojej książce „Walka o Everest, 1924”: „Można było zaobserwować, jak w konfrontacji z tym ogromem przeszkód nerwy Mallory’ego napinają się jak struny skrzypiec. Widać było, jak ten człowiek ten zbiera się w sobie i, niemal instynktownie, wysuwa się na czoło”.

1 czerwca Mallory i Geoffrey Bruce na przekór trudnościom ruszyli wraz z grupą tragarzy w kierunku szczytu. Mieli też założyć i wyposażyć górne obozy. Brnęli w górę w huraganowym wietrze. Kiedy dotarli na wysokość około 7700 metrów, gdzie zaplanowano obóz V, zbuntowali się cierpiący z powodu odmrożeń tragarze. Znow trzeba było zawrócić. Ale zacinająca się wspinaczkowa machina już podjęła pracę: schodząc do bazy Mallory i Bruce minęli brnących w górę Nortona i Somervella. Zamierzali oni założyć obóz VI na wysokości 8220 metrów. Stamtąd mieli zaatakować szczyt.

Wyruszyli rankiem 4 czerwca. Wspinali się bez tlenu. Wydawało się, że szczyt jest w zasięgu ręki, ale też szybko rosły trudności. Byli coraz bardziej wyczerpani. Somervell poruszał się coraz wolniej. Na wysokości blisko 8550 metrów jego pokasztywanie zmieniło się w stały, męczący kaszel. Zaczął się dusić. Wreszcie wykrztusił z siebie kłębek tkanek wyściełających gardło i krtań. Odmroził je już wcześniej, a gwałtowny kaszel wyrzucił je z ust. Wycieńczony Somervell nie mógł się wspinać dalej. Norton ruszył więc samotnie w górę. W suchym, głębokim śniegu przebierał nogami prawie w miejscu. Do tego w każdej chwili groziło mu zsuniecie się z niepewnych, dachówkowatych stopni. Na wysokości 8580 metrów zaprzestał walki. Do ściany piramidy szczytowej, gdzie teren był łatwiejszy, miał już bardzo blisko. Po odpoczynku, mimo zaburzeń widzenia, był gotów brnąć dalej. Ale była już trzynasta, przez ostatnią godzinę zyskał tylko 30 metrów wysokości. Norton wiedział, że nie ma już czasu, że nie zdąży dojść na szczyt przed nocą. Zawrócił. Zabrał po drodze Somervella. Na spotkanie wyszli im Mallory i Odell. Dali pić, podłączyli do aparatury tlenowej i sprowadzili do namiotów obozu IV.

Na pocieszenie został Nortonowi rekord wysokości osiągniętej przez człowieka bez użycia aparatu tlenowego. Został pobity dopiero w roku 1978, kiedy to Reinhold Messner i Peter Habeler weszli na szczyt Everestu bez butli z tlenem. Zrobili to, co przez 54 lata wydawało się niemożliwe.

Finał, w którym Mallory i Irvine znikają w chmurach

Wróćmy jednak do Mallory’ego. Po przerwanej buntem tragarzy wyprawie wrócił na przełęcz w stanie szewskiej pasji. Był zdeterminowany do tego stopnia, że odstąpił od swoich zasad i polecił przygotować butle z tlenem do decydującego ataku. Na towarzysza wybrał Irvina. Uznał, że musi mieć przy sobie człowieka, który zapewni mu niezawodność pracy aparatury tlenowej. Nie przeszkadzało mu, że Irvine nie jest doświadczonym wspinaczem, ani to, że jest przeziębiony. Zresztą Mallory sam miał kłopoty z gardłem. Napisał wówczas do przyjaciela: „Tym razem mamy zamiar pożegłować do szczytu i Bóg z nami,

albo też będziemy kuśtykać aż na szczyt z zębami wyszczerzonymi na wiatr”.

6 czerwca rano, przy niezłej pogodzie, Mallory i Irvine wyruszyli. Tuż przed wymarszem Odell, który pozostawał w bezpośrednim odwodzie i miał wspomagać czołową dwójkę, posuwając się za nią z tragarzem, zrobił Mallory'emu i Irwinowi zdjęcia. Ostatnie, jak się wkrótce okazało.

Pogoda poprawiała się wyraźnie, co dodawało wspinaczom otuchy i sił. Szli szybko w górę i następnego dnia, zadowoleni z siebie, dotarli do obozu VI na wysokości 8220 metrów. Mallory, odsyłając w dół Szerpów, przesłał przez nich dwie krótkie notatki. Pisał: „Wystartujemy jutro, przypuszczalnie wczesnym rankiem, aby mieć klarowną pogodę. Nie będzie za wcześnie już o 8 (tu zamiast „a.m.” napisał „p.m.”) zacząć nas wypatrywać, kiedy będziemy przekraczać skalne pasmo pod piramidą szczytową lub wspinąć na tle nieba”.

8 czerwca Odell, podchodząc do obozu VI, wypatrywał od rana obydwu wspinaczy. Było pogodnie, więc mógł obserwować w perspektywnym skrócie trasę od obozu VI aż na sam szczyt. Stał kilkadziesiąt metrów poniżej linii 8000 metrów. Niestety, choć wyżej widać było wciąż czyste niebo, jego punkt obserwacyjny zaczęły dość wcześnie spowijać płaty mgły. Obserwował jednak dalej, czekając na przejaśnienia. O godzinie 12.50 w prześwicie między mgłami, wysoko na grani podszczytowej dostrzegł obydwu wspinaczy poruszających się rażno ku górze. Szybko weszli na uskok skalny, który Odell, pomimo że między chmurami widział tylko fragmenty całej drogi, rozpoznał jako tzw. drugi uskok (będący najtrudniejszą przeszkodą w drodze na szczyt). Obserwowana dwójka, jeżeli była na drugim uskoku, miała w stosunku do planu kilka godzinóźnienia, ale dynamicznie wspinająca się dalej i była blisko podstawy piramidy szczytowej.

Odell był przekonany, że musi im się udać. Niestety, chmury przesłoniły widok i Odell nie mógł dojrzeć niczego więcej. Wypatrywał jeszcze chwilę, ale chmury zgęstniały. Kiedy dotarł do obozu VI, było już około drugiej. Zaczęła się śnieżna zadymka, która zagoniła go do wnętrza marniutkiego namiotu Mallory'ego

i Irvine'a. Znalazł w nim rozrzucone drobne elementy aparatury tlenowej; widać Irvine do ostatniej chwili pracował nad jej usprawnieniem.

Na zewnątrz śnieżna burza przybierała na sile i Odell zaczął się martwić, czy wracający wspinacze odnajdą zbawczy namiot. Wyszedł więc na zewnątrz, wołał i gwizdał, ale bez skutku. Kiedy około czwartej po południu burza ustała i przejaśniło się, natychmiast zaczął przepatrywać stoki powyżej. Znow bezskutecznie. Nie chciał blokować małego namiotu, zaczął więc schodzić na przełęcz północną. Zapadł zmierzch, a po nim noc, jasna, księżycowa. Dotarł na przełęcz około drugiej po północy i do rana obserwował kopułę szczytową i okolice obozu VI w oczekiwaniu na ewentualne sygnały alarmowe. Rano kontynuował obserwację. Wreszcie zdecydował się wyjść ponownie w górę.

Namówił trzech tragarzy i wspólnie ruszyli na poszukiwania. W obozie V - pusto. W namiocie obozu VI, do którego Odell dotarł już samotnie, też nie zastał nikogo. Droga ku szczytowi również pusta; tylko obojętne skały, śnieg i lód.

Odell ułożył na śniegu krzyż z dwóch spiworów.

Zrozumiał, że Mallory i Irvine zginęli.

Epilog, w którym nie wszystkie pytania znajdują odpowiedzi

Pamiętam liczne artykuły, audycje, ba, nawet czytanki szkolne, opisujące dwóch baśniowych wręcz bohaterów, którzy zniknęli gdzieś w podszczytowych chmurach najwyższej góry świata. Legenda upodobała sobie Mallory'ego i jego młodego partnera, ale do dziś trwają też dyskusje, w których powraca pytanie: czy Mallory i Irvine zdobyli Everest?

Brakowało dowodów, decydować musiały więc obserwacje Odella. Po zejściu do bazy, a także po powrocie do kraju, twierdził on zdecydowanie, że widział obydwu wspinaczy już na drugim uskoku szczytowej grani wspinających się dalej. Jeżeli tak było, to można zaryzykować twierdzenie, że Mallory i Irvine, pomimo dość późnej pory i niewielkiego zapasu tlenu, mogli dotrzeć na szczyt. Wówczas zdobywcy musieli schodzić już bez tlenu, w ciemnościach, narażając się na biwakowanie bez jakiegokolwiek osłony.

Jeżeli jednak Odell widział wspinaczy na pierwszym uskoku, gdy przed nimi był jeszcze niesamowicie trudny uskok drugi, to wejście szczytowe było po prostu nierealne.



Niezwykłej urody panorama Szczytu Świata, wykonana przez Wojtkę Kurtykę podczas prby przejścia, wspólnie z Reinholdem Messnerem, pld ściany Cho Oyu w grudniu 1982 roku

Odell w notatce poświęconej pamięci obydwu zaginionych, a zamieszczonej w „Alpine Journal” wkrótce po zakończeniu tragicznej wyprawy, podtrzymał swe twierdzenie: Mallory i Irvine zdobyli szczyt. Jednak Teddy Norton, kierownik wyprawy i po-

siadacz rekordu wysokości uzyskanego na Evereście, nie zgadzał się z Odellem. W specjalnym prasowym oświadczeniu wyraził swoje wątpliwości. Wówczas Geoffrey Winthrop Young, przyjaciel Mallory’ego dotknięty do żywego opinią Nortona, publicznie stwierdził: „szczyt został po raz pierwszy zdobyty, bo Mallory to był Mallory”.

Później jednak, pod naciskiem wątpliwości zgłaszanych przez wiele osób, Odell zaczął się wahać. Wreszcie uznał, że nie może wykluczyć pomyłki. Może rzeczywiście widział wspinaczy na pierwszym, a nie drugim uskoku?

Brytyjczycy jeszcze trzykrotnie usiłowali zdobyć niedostępny wierzchołek. Bez skutku. Dziewięć lat po zaginięciu Mallory’ego, w czasie kolejnej próby znaleźli na polu śnieżnym poniżej pierwszego uskoku nieuszkodzony czekan Irvine’a. Ale stare pytania pozostały bez odpowiedzi. Kolejne wyprawy nie przyniosły nowych szczegółów. Nareszcie 29 maja 1953 roku Edmund Hillary i Norkay Tenzing dokonali historycznego wejścia na Everest.

roku 1960 na Everest drogą Mallory’ego i Irvine’a weszli Chińczycy. Niedostępny drugi uskok pokonał młody wspinacz Qu Lin-hua. Odmroził ciężko stopy, ale przeszedł przeszkodę, otwierając partnerom drogę na szczyt. Wejście to było kwestionowane, ale dokumentacja filmowa potwierdziła wyczyn Chińczyków. Można było teraz zadać pytanie: czemu niektórzy tak uparcie wykluczają możliwość pokonania drugiego uskoku przez Mallory’ego, skoro chiński wspinacz dokonał tego, pomimo dość prymitywnego jeszcze wyposażenia.

Następne lata przynoszą serię sukcesów i tragedii pod Everestem, a wyprawa z roku 1924 coraz bardziej blednie w pamięci. Himalaiści z różnych krajów zdobywają Górę nowymi, coraz trudniejszymi drogami. Poczesne miejsce w tym doborowym towarzystwie zajmują również Polacy: Wanda Rutkiewicz, która jako pierwsza z nich weszła na Mount Everest, Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki, którzy dokonali pierwszego zimowego wejścia na Górę, Andrzej Czok i Jerzy Kukuczka - zdobywcy Everestu nową drogą na południowej flance.

„Być może nie to jest najważniejsze, czy Mallory i Irvine osiągnęli szczyt, ale ich duch i charakter, które zaprowadziły ich tak daleko. Mallory i jego generacja chcieli wspinać się coraz wyżej, akceptując zagrożenia, które przed wojną były niewyobrażalne. Widzieli tak wiele śmierci, że nie miała już ona nad nimi żadnej władzy” - pisał niedawno Wade Davis w amerykańskim czasopiśmie „Men’s Journal”.

Sprawa Mallory’ego i Irvine’a powróciła nagle w roku 1979. Oto w czasie chińsko-japońskiego rekonesansu na północnej flance Everestu chiński wspinacz Wang Hongbao zwierzył się swemu japońskiemu koledze, że w roku 1975, w czasie drugiej wyprawy chińskiej na Everest, na wysokości ponad 8100 metrów natrafił na szczątki angielskiego wspinacza odziane w strzępy ubioru sprzed drugiej wojny światowej. Kiedy informacja ta dotarła do pozostałych Japończyków, wzbudziła podniecenie: było oczywiste, że to mógł być tylko Mallory lub Irvine.

Niestety, Chińczyk następnego dnia zginął wraz z dwoma towarzyszami w lawinie, a wraz z nim zniknęła możliwość uszczegółowienia informacji. Podjęto jednak trop. W roku 1986 ruszyła pierwsza wyprawa, której celem było odnalezienie szczątków legendarnych wspinaczy. Nie udało się. Od tego czasu dokonano blisko 200 następnych wejść na Everest „starą” drogą Mallory’ego i Irvina. Fatalny drugi uskok pokonywano po aluminiowej drabinie, którą zainstalowali na nim Chińczycy w roku 1975. Nie znaleziono jednak niczego, co mogłoby pomóc w rozwikłaniu zagadki. Nawet wnuk Mallory’ego, również George, który w roku 1995 wszedł na szczyt Everestu drogą swego sławnego dziadka, nie znalazł nawet jednego śladu i mógł powiedzieć jedynie, że „rodzinne przedsięwzięcie zostało teraz doprowadzone do końca”.

W 1999 roku ruszyła kolejna wyprawa poszukiwawcza. Kierował nią Eric Simonson, a w mocnej grupie wspinaczy należeli się zdobywcy Everestu Dave Hahn i Andy Politz oraz wybitny zawodowy wspinacz, 36-letni Kalifornijczyk Conrad Anker. Wyruszyli z Katmandu w ostatnim tygodniu marca. Po miesiącu wstępnej działalności poświęconej zakładaniu obozów, aklimatyzacji i dotarciu do przełęczy północnej, ruszyli w górę.

Wysoko, w partiach podszczytowych północnej ściany odnaleźli ciało Mallory’ego. Dokonali również innych, niezwykle interesujących ustaleń.

17 maja Anker wspinał się samotnie na drugi uskok. Stwierdził, że wspinaczka była krańcowo trudna, nawet z jego umiejętnościami i nowoczesnym wyposażeniem. Musiał zresztą na chwilę wesprzeć się jedną stopą na szczeblu chińskiej drabiny, aby zaczerpnąć tchu. Dalsza droga ku szczytowi również była wyczerpująca. Po tej próbie opinia Anker’a stała się jednoznaczna: Mallory i Irvine dotarli najwyżej do podnóża drugiego uskoku i musieli się wycofać. Zginęli podczas zejścia. Ale Andy Politz dokonał ciekawej obserwacji: wspinał się drogą, którą 8 czerwca 1924 r. podążał śladem dwójki wspinaczy Noel E. Odell. Odszukał opisane przez niego miejsce, z którego obserwował tamtego dnia Mallory’ego i Irvine’a na ich drodze ku szczytowi. Przyglądając się kopule szczytowej i ostatniemu odcinkowi grani, Politz stwierdził, że uskoki są tak wyraźne, odrębne i różne, że nawet przy złej widoczności trudno byłoby je pomylić. Zdaniem Politza Odell musiał widzieć Mallory’ego i Irvine’a ponad drugim uskokiem. Po prostu nie mógł się pomylić.

Dawne wątpliwości natychmiast powróciły. A może Mallory i Irvine rzeczywiście zostali dostrzeżeni na drugim uskoku, kiedy energicznie wspinali się dalej? I do tego jeszcze ten Chińczyk, który w roku 1960 wspinał się jednak na ten uskok. Qu Lin-hua potrzebował zaledwie dwóch godzin na jego „rozmontowanie”. Twierdził, że „problem drugiego uskoku” sprowadza się właściwie do trzymetrowej gładkiej ścianki, którą przeszedł, stając - po zdjęciu butów - na ramionach swego partnera. Tylko co z tym szybkim i „gładkim” przejściem skalnego stopnia, obserwowanym przez Odella?

Kiedy 17 maja, około południa, uczestnicy wyprawy wypatrywali Anker’a i Hahna z punktu obserwacyjnego Odella, w przerwie między chmurami, wysoko na grani szczytowej dostrzegli dwójkę wspinaczy, zmierzających rażno w górę. Patrzyli pod tym samym kątem, co niegdyś Odell. Podobieństwo ich obserwacji było uderzające: oto Anker i Hahn znajdowali się w bezpośredniej bliskości kopuły szczytowej. Przystąpili do pokonywania

widocznego uskoku skalnego, który dokładnie odpowiadał opisowi przekazanemu przez Odella. Przeszli go w kilka minut. Historia zatoczyła więc koło. Tyle tylko, że teraz obserwatorzy mogli nawiązać ze wspinaczami łączność radiową. Dzięki temu udało się ustalić, że Hahn i Anker przeszli właśnie... trzeci uskok na wysokości 8700 metrów, u podstawy kopuły szczytowej. O 14.50 obydwaj wspinacze byli na szczycie Everestu.

Kiedy Hahn i Anker zbliżali się do szczytu, inni uczestnicy wyprawy odszukali u podnóża pierwszego uskoku zardzewiałą butlę tlenową. Rozpoznali ją na podstawie zdjęć: była to jedna z butli, którymi posługiwali się Mallory i Irvine. A więc wymienili butlę tam, gdzie planowali: po dotarciu do pierwszego uskoku.

Dowody, dowody... Musimy mieć dowody. Simonson pokieruje kolejną wyprawą poszukiwawczą, która wyruszy pod Everest już wkrótce, wiosną roku 2000. Będą szukali ciała Irvine'a, o którym prawdopodobnie wspominał Wang Hongbao. Simonson twierdzi, że zna prawdopodobnie lokalizację ciała. Może znajdą się przy nim jakieś notatki, może znajdzie się aparat fotograficzny, a w nim zdjęcia z drogi lub nawet ze szczytu.

A przecież nie wiemy jeszcze, gdzie podział się nie tylko czekan Mallory'ego, ale i butle tlenowe. Przecież musieli je gdzieś zostawić. Oczywiście na tych wysokościach nie da się ugańnić z aparatem do wykrywania metali w rękach i przeszukiwać metr po metrze. Ale wystarczyłby jakikolwiek szczegół wyposażenia Mallory'ego i Irvine'a, jakikolwiek ślad na drugim uskoku, aby sprawa zdobycia przez nich szczytu stała się wysoce prawdopodobna.

Czekajmy zatem na wyniki dalszych poszukiwań.

Możemy przypuszczać, że Mallory i Irvine schodzili do zbawczego obozu prawdopodobnie już po ciemku, zupełnie wyczerpani, na granicy świadomości. Ale czy przyczyną tej dewastacji sił było nieludzko trudne, ale przecież możliwe wejście na szczyt, czy nieudane, wielokrotnie ponawiane próby sforsowania drugiego uskoku? Oto pytanie, na które być może nigdy nie uzyskamy jasnej odpowiedzi.

Ryszard Długolecki

Górami pisane

O tym, jako
Władek Trebunia - Tutka
nas podhalański Platon,
opowiadał o władzy pieniądza

Beło po południu. Juhasi podojyli, owce polygały w cieniu, bo sie zrobiło ciepło. Ludzie to samo. Władek Trebunia - Tutka, co go pote Grecy Platonem przezwali, zaśpiewoł: „Coz mi po piniązkach na tym Bozym świecie, kie mie ze smyntorza syćka odejdziecie”. I zaraz zrobiło sie koło Władka tak jakosi mądrze. I wtedy mu Krzyś Ambroź z Łopusznej tak pedzioł:

- A co powiyecie na to, kie pieniądz rządzi?

Wtedy dał sie słyseć taki głos: - Downiej ludzie mieli honor. Honor, to było honor. Honorowo jest - dobrze drugiemu zrobić. Honorowo jest - na słabsego sie nie ruć. Honorowo jest - danego słowa dotrzymać. I honorowo jest rządzić tak, co by kozdymu dawać po sprawiedliwości. Honor nikomu nie ubliży. Od nikogo nie ukradnie. Honor nikogo nie okłamie. Honor kosztuje piniądze, ale jak kto mo honor, to piniądz dlo nie go to je nie!

Przydarzyło sie roz Kazkowi Kułachowemu z Rogoźnika, ze go na weselu w Dębnie dobiyli. A biyło sześciu na roz. Kazek na ziemi lezoł, a óni go sajtaami tłukli. I byliby go zatłukli, kieby nie to, ze biyli sytka na roz i sajty sie jedna od drugiej odbijały, tak ze ino ponieftoro do Kazkowego ciała dolatowała. Kazek sie długo lizoł. Ale kie sie wylizoł, wzión sie do wypłaty. Porachowoł se dokładnie, kielo razy oberwoł, podzielył przez sześć i sprawiedliwie wypłacoł. Wypadło cheba po pięć na jednego. Kazek chodził za kozdym, wypatrzowoł samego, pytoł sie „poznajes mnie?” i pote juz ręki nie załowoł. Pięć blizn kozdymu na plecach cy ka popadło wyrzeźbiył. Kie przysło do ostatniego, to po tyj wypłacie ledwo zywego przu stole postawił i pół litra s' nim

wypiył. Ta więcej sóm piył, bo tamtyn ledwo zipioł. Kazek swój honor mioł.

Ludzie pokiwali głowami nad honorem. Kozdy cuł, ze honor trza mieć.

Po kwili Władek prawiył dalej: - Ale pote się cosi popśnieło. I hań, ka downo był honor, pojawiył sie piniądz. Ludzióm sie ubzdurało, ze jak jedyn z drugim piniądz bee mioł, to bedzie mioł i honor. I zacyni jedni przed drugimi za piniądzym gónić. I chwolić sie, jacy to óni sóm bogoce. I baby zacyni po sobie wiysać złoto, a na głowie robiły se kręte włosy. Bo to więcejj kosztuje. A chłopcy zacyni w ceperskim odziyniu chodzić i juz-eś nie uwidzioł bukowych portek. I chałupy się tyz pozmiyniały. Juz nie były z drzewa jako downiej, ale jakiesi takie jakby piecary jakie abo jaskinie. Bogodali: „Stać nos”.

I stało sie ze zaś kogosi pobiyli na weselu we Waksmundzie. To wiecie, co ón se kozoł? Kozoł se wypłacić za kozdóm rane po talarze. Tak to wej honor piniądz zamiynił. No i co sie nie robi - wypłacili. Zrobili składke i wypłacili! Kie Władek Trebunia-Tutka, nas podhalański Platon, to usłysoł, to pedzioł: „Takiemu to ani na pogrzyb nie worce iść”.



Wybrano z książki Józefa Tischnera „Historia filozofia po góralsku”



Nadchodzą Święta. Święta
radosne i uroczyste.
Wszystkim Tatrzańskim
Towarzyszom Redakcja
Wołania składa moc
najserdeczniejszych życzeń.

Życzymy sobie by Wigilijny wieczór, ostatni w tym stuleciu
rozpoczął w nas nowe życie.

Niech się Wam darzy w Roku
Pańskim 2001. Roku
szczególnym, bo
rozpoczynającym Trzecie
Tysiąclecie naszej ery.

Niech Wszystkie Góry Świata
stoją przed Wami otworem,
zawsze piękne, niezdobyte, ale
łaskawe dla tych co nauczyli się
kochać tę cudowną krainę na
planecie zwanej Ziemia.

